LEKTOR: Audycje Kulturalne – w dobrym tonie.

ALEKSANDRA GALANT: **To są Audycje Kulturalne, podcast Narodowego Centrum Kultury. Przy mikrofonie Aleksandra Galant. Dzisiaj wybierzemy się w przeszłość. To, czy jest ona odległa czy nie, myślę, że to należy już do oceny każdego z nas. Cofniemy się bowiem do czasów PRL-u, czyli już ładnych kilkadziesiąt lat wstecz i przyjrzymy się temu, co się w Polsce działo. Działo oczywiście w związku ze światem kultury, sztuki tej artystycznej bohemy i cyganerii, o której bardzo lubimy myśleć, bowiem tam działało i funkcjonowało, towarzysko również, bardzo wiele barwnych postaci, które mam wrażenie od kilku lat, od jakiegoś czasu są odpominane, są przypominane, a to przynależne miejsce jest im przywracane. I myślę, że takimi postaciami zdecydowanie są siostry bliźniaczki Alicja i Bożena Wahl, które w tym świecie warszawskiej bohemy artystycznej odegrały bardzo ważną rolę. Myślę, że również taką spajającą różne postaci ze świata literatury, sztuki, malarstwa, ale także filmów, kinematografii czy teatru. A okazja, żeby o tych dwóch malarkach porozmawiać, trafiła się dlatego, że na rynku pojawiła się książka. Książka "Alicja. Bożena. Ja. Siostry Wahl i bohema PRL-u" to jest książka, którą napisał pan Jerzy Żurek. Prozaik i dramaturg, który przyjął zaproszenie, i dzisiaj jest Waszym i moim gościem. Bardzo miło jest pana powitać w Audycjach Kulturalnych.**

JERZY ŻUREK: Mnie również jest miło panią powitać.

ALEKSANDRA GALANT: **Zacznę od drugiej części tytułu, bo wydaje mi się, że w ten sposób naturalnie przejdziemy do opowieści o siostrach Wahl. Mianowicie zacznę od tej bohemy PRL-u. Czym bohema PRL-u była, w jaki sposób ona funkcjonowała i co nadawała, bo oprócz tego, że zrzeszała pewne osoby, to była też powiewem świeżości, powiewem czegoś nowego, koloru, barwy. To jest oczywiście moje wyobrażenie, ale chyba nie bez powodu o osobach, które do tej bohemy należały, mówiło się, że to były takie kolorowe ptaki.**

JERZY ŻUREK: Myśmy nigdy nie myśleli ani o sobie, ani o tych naszych znajomych, o artystach, którzy do nas przychodzili, w taki sposób. Było to zwykłe, normalne życie. Tak jak i teraz są różne środowiska, których niekoniecznie trzeba je wartościować, trzeba je nazywać i tak dalej, i tak dalej. Później się kształtuje taki rodzaj opowieści. Chociaż słowo bohema pochodzi raczej z Młodej Polski. Różni ludzie różnie o sobie wtedy myśleli, działali. Artyści raczej nie lubią przypasowania do jakiejś sytuacji, do jakieś grupy społecznej. To było zbiorowisko w gruncie rzeczy tych naszych przyjaciół, z którymi w galerii mieliśmy do czynienia, osób bardzo osobnych można powiedzieć, indywidualnych, oryginalnych. Wystarczy parę nazwisk wymienić, żeby wiedzieć, że za tym wszystkim się kryła nie żadna w gruncie rzeczy bohema, tylko zbiór bardzo dziwnych czasami ludzi i szalenie utalentowanych jednocześnie. A tytuł to, podtytuł wymyśliło, między nami mówiąc, wydawnictwo.

ALEKSANDRA GALANT: **No ale mimo wszystko nie żałuję, że to pytanie zadałam, bo wydaje mi się, że stworzył się pewien kontekst, który pomoże zrozumieć, kim siostry Wahl były. Wydaje mi się, że na pierwszy plan książki wysuwa się jednak Alicja, ta starsza z sióstr bliźniaczek, jeżeli tak można powiedzieć, tę różnicę wiekową liczymy tutaj w minutach. Starsza o około 10 minut. One obie były malarkami, ale w książce one też zajmowały się rysunkiem i grafiką, i od tego się chyba zaczęło.**

JERZY ŻUREK: Właśnie były znane jako rysowniczki. Graficzki mniej, bo technikami graficznymi się nie zajmowały, natomiast rysowały, i szczególnie że i Bożena, i Alicja były związane z pismem "Kultura", i tam wielokrotnie ilustrowały... Może nie ilustrowały. Ich rysunki były częścią ilustracji jakichś tekstów, robiły okładki do książek, potem też w telewizji jakieś scenografie do Kabaretu Starszych Panów. One się uważały od początku za malarki, tylko mało kto o tym wiedział, bo skąd mógł wiedzieć, jeżeli nie wystawiały tych obrazów, trzymały je, prawie że pod kluczem. Dopiero powoli, powolutku w trakcie istnienia galerii te obrazy z kąta przechodziły do głównej sali, potem już na ścianie nawet czasami. Prawie nigdy nie były do sprzedania, wbrew temu, co ludzie sobie mogli wyobrażać. I to były te obrazy, których nie było wiele. To były takie ich własne dzieci w gruncie rzeczy, z którymi one żyły przez wiele, wiele, wiele lat. Dlatego nie chciały się z nimi rozstawać, bo to potem już jest coś takiego bardzo własnego, a po drugie dlatego się nie chciały rozstawać, że ciągle je malowały, przemalowywały, konstruowały jakieś nowe światy tam gdzieś w tle i jeszcze dalej. Albo niszczyły. Też bywało i tak. To właściwie można powiedzieć o każdym malarzu w gruncie rzeczy.

ALEKSANDRA GALANT: **Zaznaczyłam, że to siostry bliźniaczki, bardzo ze sobą związane, na wielu płaszczyznach podobne. Mówi pan, że one malowały, tworzyły, ale to ich malarstwo, to, co tworzyły i to, jak tworzyły, bardzo się od siebie różniło.**

JERZY ŻUREK: My mało o tym wiemy, bo niewiele osób widziało to malarstwo. Bożena, niestety, w tej chwili, jakby kogoś spytać, z czego ona jest znana, co maluje, to sporo ludzi by powiedziało coś dobrego albo i złego o tym jej malarstwie, które było czysto użytkowe, dla chleba jakby to powiedzieć, dla jej całego stada coraz większego zwierząt, którymi się zajmowała. Więc to były jakieś takie rysunki spod mistrzowskiej ręki, ale jednak nie z tego głównego nurtu, a jej twórczość była szalenie ciemna, mroczna, koszmarna można by nawet powiedzieć. Alicja też używała gam tylko od szarości do czerni z ewentualnymi przepustkami czerwieni, ale to bardzo rzadko. U Alicji to były głównie autoportrety, ale też takie ze świata jakiegoś bardzo mrocznego. Jakby je zestawić na jednej wystawie, to rzeczywiście ta różnica jest, natomiast gatunkowo były bardzo podobne. To znaczy pewien rodzaj przekształcenia ludzkiej postaci, zawsze to było malarstwo figuratywne w ich wypadku. Tam zawsze gdzieś był jakiś człowiek, jakieś monstrum ludzkie w tle, więc pod tym względem się nie różniły. Natomiast na pierwszy rzut oka już można te malarstwa odróżnić i mam nadzieję, że będzie jakaś wystawa, gdzie wszyscy wreszcie zobaczą, jak to z nimi było naprawdę i jakimi one malarkami były rzeczywiście, a nie w wyobrażeniu ludzkim takim, który raczej kojarzył je albo

z rysunkami kolorowymi, takimi wiciowatymi postaciami ludzkimi, albo jeśli chodzi o Bożenę z tymi postaciami kotków, piesków i klaunników. Natomiast prawda jest niesamowita.

ALEKSANDRA GALANT: **Przywołam cytat z książki, którą pan napisał. Wydaje mi się, że on jest bardzo à propos rozmowy o twórczości Alicji i Bożeny Wahl, ale też tego, że dzisiaj trochę jej brakuje, to znaczy ona trochę popadła w zapomnienie. Pisze pan, że one obie dziarsko pracowały na to, żeby o nich zapomniano. Nie wystawiały, nie sprzedawały, blokowały wydawanie katalogów, nie istniały twórczo. Bożena zasłoniła swoje czarne malarstwo portrecikami kotków i piesków. Alicja zniknęła w ogóle, razem z galerią. O galerii, która wydaje się kolejnym bohaterem książki, mam nadzieję, że porozmawiamy za moment. Teraz jednak chciałabym zastanowić nad tym, co się stało z ich twórczością i co się stało z nimi jako artystkami, że musimy o nich przypominać.**

JERZY ŻUREK: To może jest naturalna kolej rzeczy. Zresztą wielu artystów ma taki gen autodestrukcji w sobie. Prawdopodobnie tutaj coś takiego zaistniało. Powiedzmy, że Janek Lebenstein też gdyby mu nie podano ręki w którymś momencie, też się zapędził w taką dróżkę, obrażał marszandów, miał jakieś takie afery, wyrzucano go z wystaw i tak dalej, i tak dalej. Gdyby nie to, że ponadto parę osób jeszcze go wielbiło, na pewno też nic dobrego by mu się w życiu nie przydarzyło od tej strony malarskiej. A Alicja z Bożeną jeszcze były podwójne, więc tym gorzej, bo same były konfliktowe w takich sytuacjach wystawienniczych, potrafiły się kłócić, bić, obrażać marszandów. Też u nas w Polsce nawet na spotkaniu premierowym książki była pani, która je właśnie znała od tej strony z galerii "Zapiecek" i wspominała teraz już z rozrzewnieniem, ale wtedy troszeczkę ich się bano, więc one same też się trochę siebie bały. Tak to już jest. Poza tym każdy artysta, wybitny czy nie wybitny, po jakimś okresie wzlotów przechodzi do czyśćca. Łatwo to zobaczyć w literaturze, gdzie jest Stryjkowski, gdzie jest Terlecki, gdzie jest paru jeszcze pisarzy. Z jednej strony jest to normalna kolej rzeczy, z drugiej może warto, żeby istniał mechanizm przywracania takich osób, sięgania do tej pamięci społecznej trochę głębiej, no i mam nadzieję, że coś takiego się zdarzy, zdarzyło się już, bo odzew jest na tę książkę jakiś na razie bardzo, bardzo duży. Spotkałem ludzi, których nie widziałem dwadzieścia kilka lat. Piszą do mnie nawet artyści też związani z galerią.

ALEKSANDRA GALANT: **I w ten sposób docieramy na warszawski Żoliborz, na ulicę Mierosławskiego, bo to tam mieściła się owa galeria, która już kilkukrotnie pojawiła się w trakcie naszej rozmowy. Pojawiła się dokładnie w roku 1979 i, jak pisze pan w książce, była jedną z pierwszych prywatnych galerii w Polsce. Teraz to, że to podkreślamy, może trochę dziwić, bo zanim jeszcze rozpoczęliśmy nagranie, rozmawialiśmy o tym, że galerii jest mnóstwo. One wręcz pączkują, ich przybywa, co ma oczywiście swoje dobre strony, bo to znaczy, że sztuką ktoś się opiekuje i ktoś się interesuje. Z drugiej strony ten sznyt wyjątkowości prawdopodobnie gdzieś się wytraca, a tego na pewno tej żoliborskiej galerii nie można było odmówić.**

JERZY ŻUREK: To była druga, licząc zezwolenia Ministerstwa Kultury, bo to tak musiało wtedy wyglądać. To była galeria powiedzmy z takimi najwyższymi ambicjami, nie żaden sklep z obrazkami. To była idea życiowa Alicji. Ona to wymyśliła, trwała przy tym, mimo że przecież po drodze mieliśmy najdziwniejsze rzeczy, łącznie ze stanem wojennym, gdzie musieliśmy na prawie dwa lata zamknąć galerie, bo po co pokazywać obrazki? I tak nikt by nie przychodził wtedy. Wybrnęliśmy jakoś później z tego, organizując najpierw wystawę rysunków Witkacego, a potem Szulca ze zbiorów częściowo prywatnych, co było samo w sobie ciekawostką. To była idea Alicji. Ja pamiętam, że jak bywaliśmy gdzieś albo Paryżu, albo w Brukseli i ona widziała jakiś pusty sklep albo taki z napisem, że do wynajęcia i mówiła: "Tu powinna być galeria". Ja mówię: "Kochana, ale to nie jest tak, że cały świat marzy tylko o tym, żeby kupować sobie obrazy". Bo ona prawie że myślała o tym na skalę przemysłową, że tu, tu, tu i jeszcze tam. A to cały dom, pustostany, no to wszędzie galeria. Tak się nie da, ale w Polsce przez pewien czas to wyglądało na utopijną dość ideę, skoro nawet sąsiedzi starali się przechodzić na drugą stronę ulicy, żeby nie byli zaczepieni, że czemuż to nie zaszczycą i nie wejdą zobaczyć przynajmniej, co tam jest. Ale powolutku to się jakoś normowało. Alicja miała jeszcze taką ideę, żeby młode małżeństwa na przykład albo ludzie, wtedy to jeszcze na początku się dostawało mieszkanie albo jakoś tam rodzice kupowali, w każdym razie, że ci, co zaczynają życie, żeby nie mieli gołych ścian albo zapełnionych jakimiś bohomazami, bo to najłatwiej. Powolutku, powolutku takie pary prawie że hodowaliśmy. Na tej zasadzie, że oni tam jakieś pieniądze mieli, a ona im podrzucała coś, co było obiektywnie wspaniałe, bo myśmy nie mieli żadnej tandety. Nawet jakbyśmy byli zmuszeni do tego, żeby obniżyć poziom, to byśmy go nie obniżyli, raczej byśmy zamknęli galerię. Alicja miała oko nieprawdopodobne i zresztą wielu artystów, z których każdy przecież pielęgnuje swoje ego, przekonywał się szybko, że nie dało się jej podrzucić jakichś takich, jak to zwykle każdy robi, że takie mniej dla niego ważne, mniej ciekawie albo spaprane wręcz jakieś rysuneczki nam podsuwa. Po czymś takim paru wielkich, jak się przekonało, że ona ma gust i oko, i że jest bezwzględna, no to dopiero wtedy po jakimś czasie najpierw była troszeczkę obraza, a potem szacunek, że to jednak jest poważna galeria, a nie żadna tam opowieść jakiejś pani z Warszawy, kudłatej w dodatku.

ALEKSANDRA GALANT: **Bardzo się cieszę, że pan tak pół żartem, pół serio do tego nawiązał, bowiem jednym z powodów, dla których siostry były rozpoznawane na ulicach, były bardzo bujne, kruczoczarne fryzury.**

JERZY ŻUREK: I w ogóle taki pewien styl, które one pielęgnowały od młodości. Słynna to była historia, bo przecież za to je wyrzucano z Akademii Sztuk Pięknych w latach 50. Mianowicie kolorowe pończochy. To przecież był taki znak czasów. Jakoś tam się udało je wtedy wybronić, mimo że jeszcze miały ojca andersowca w Paryżu. To już w ogóle nie należały im się studia w socjalistycznej ojczyźnie, tyle że tam z tyłu działał wtedy Roman Bratny i zdaje się, że troszeczkę się go bali i nic tak do końca złego dziewczynom się nie zdarzyło. Ale one do końca ubierały się barwnie, chodziły zawsze w szpilach albo w tenisówkach. Za Bożeną i przed Bożeną ciągnął się sznur psów. I jeszcze były dość hałaśliwe, co tu dużo mówić. Tak że jak taka podwójna postać sunęła Krakowskim Przedmieściem, to z hurkotem i wszyscy się mogli oglądać z jakiegoś powodu, nie bez. Co nie znaczy, że były tak do końca lubiane, mnóstwo ludzi tego nie znosiło i teraz można by powiedzieć, że miałyby spory hejt. Przez tą swoją taką

inność, ale miały to chyba w nosie jednak.

ALEKSANDRA GALANT: **Być może to było bardzo ważną niezbywalną ich cechą. To, że tym się chyba dużo nie przejmowały. Natomiast wracając jeszcze na chwilę na Żoliborz do galerii. To chociaż początki, które pan opisuje, nie były łatwe, nie było prosto zbudować zaufanie i potencjalnych klientów, i artystów, którzy swoje prace w galerii wystawiali, no i tutaj przykładem bardzo wyrazistym jest Zdzisław Beksiński, bo on też pozwala sobie wyobrazić, jakiego kalibru to się stała galeria. Przekonać artystę do tego, żeby jego prace mogły się tam pojawić, wcale nie było łatwo i już chyba było o włos od tego, żeby z tego pomysłu zrezygnować.**

JERZY ŻUREK: Początki były jeszcze dziwniejsze. Mianowicie Alicja nie chciała go w galerii, bo faktycznie on na różnych takich targach sztuki, tak jak pokazywał obrazy, co do których sam miał opinię, że to są takie trzeciorzędne jego dzieła, takie, które się bardzo podobały. Jakieś krasnale kolorowe, na dnie wąwozu, a naokoło jakieś czaszki i tak dalej. Więc na początku Alicja uważała, że ten rodzaj sztuki nam nie pasuje, później w którymś momencie zobaczyła jakieś inne jego obrazy, no i przez pierwsze kontakty to trochę iskrzyło. Zdzisław się bał Alicji wyraźnie. On był takim człowiekiem bardzo wycofanym, więc jej temperament to była ostatnia rzecz, jaką on chciał w życiu spotkać, dlatego ja wtedy spełniałem taką funkcję katalizatora, takiego, do którego on się mógł zwracać. Nie do niej, bo nie wiadomo, co tutaj zaraz będzie. Po jego stronie była z kolei jego żona Zosia, która tak samo była tą oazą zwyczajności i takiego "Zdzisiek, Zdzisiek", właśnie żeby tylko był spokój i tak dalej. Ale tym niemniej pierwsze dwie wizyty chyba prawie się zakończyły rzeczywiście rozstaniem, bo Alicja, ale ja też się trochę podłamałem i zezłościłem, dlatego że on nas trochę traktował, przynajmniej językowo mu tak wychodziło, że tacy przyszli handlarze sztuką, a nas to obrażało, bo myśmy chcieli czegoś więcej, jakiś wystaw, jakiejś sytuacji artystycznej. Prawie że się obraziliśmy. I po tym ostatnim zjechaniu windą z jego tam któregoś piętra, pomyśleliśmy: "O nie, to starczy już tego. Nie będziemy o niego zabiegać". Następnego dnia, dzwonek do drzwi, w drzwiach Zdzisław, Zosia i Zdzisław pod pachą dwa obrazy dźwiga, i to, jak sam potem powiedział, z tej środkowej półki. Najwyższa półka była przeznaczona dla potomności, czyli prawdę mówiąc dla muzeum w Sanoku. I od tego czasu, nie powiem żebyśmy się zaprzyjaźnili, bo on się z nikim de facto nie mógł przyjaźnić, ale do mnie miał zawsze jakiś rodzaj takiej atencji, zawsze gdzieś na boku coś mi tam szeptał do ucha. Jak ci jego najbliżsi umarli, to on mi wręczył klucze do mieszkania nawet, ale ja mu potem te klucze oddałem, bo sam miałem problemy ze swoim życiem i mówię: "Zdzichu, ja nie będę mógł w tych sytuacjach najważniejszych dla ciebie coś tutaj zdziałać". A potem stała się rzecz zupełnie makabryczna, tym bardziej makabryczna, że on był człowiekiem, który miał kłopoty z dotykiem, z podaniem ręki, był takim nadwrażliwcem. Być może to zresztą wynikało albo było też skutkiem tego, jak malował. Z takich maleńkich dotknięć wszystko się tworzyło.

ALEKSANDRA GALANT: **Myślę, że historie artystów, którzy odwiedzali galerie, ale też których prace można było w niej zobaczyć, w książce zawarł pan bardzo wiele, natomiast rozmawialiśmy o różnych składowych tytułu, o bohemie PRL-u, o Alicji,**

troszkę mniej o Bożenie. Natomiast wydaje mi się, że warto też opowiedzieć o pana twórczości, która też się przecież przenikała razem z istnieniem galerii, razem z upływem czasu, bo w książce bardzo płynnie, właściwe na jednej linii opisuje pan wydarzenia społeczne, polityczne razem z takimi losami bardziej prywatnymi, artystycznymi, bowiem pana sztuki były wystawiane, nie tylko zresztą w Polsce, te wyjazdy państwu towarzyszyły.

JERZY ŻUREK: Najzabawniejszy był wyjazd do Pragi już w stanie wojennym. Najpierw przez przypadek się dowiedziałem, że moja sztuka "Po Hamlecie" będzie tam nie tylko grania, będzie premiera, ale że to otwiera jakieś tajemnicze Dni Kultury Polskiej czy przyjaźni polsko-czechosłowackiej. Wtedy ja poszedłem do ministerstwa i mówię: "Zaraz, ale ja nie jestem zaproszony?". Oni wtedy zaczęli kręcić, że tu już nie ma biletów, a ja mówię: "Jak tak, to ja się nie zgadzam na premierę". Bo to nawet w stanie wojennym prawa autorskie to pozwalało, że można się nie zgodzić. No i wtedy powiedzieli: "A nie, no to pociągiem". Ja mówię: "Bardzo proszę, ja bardzo lubię jeździć pociągiem". Pojechaliśmy z Alicją i tam w czasie przedstawienia była taka historia, ja zresztą tym dzielnym aktorom i reżyserom z Pragi tłumaczyłem, jak oni przyjechali do Polski mnie przekonywać, że to wystawią. Ja mówię: "Panowie, przecież u was jest gorsza sytuacja polityczna jak u nas. Czy wy nie wiecie, o czym jest ta sztuka?". Oni mówią: "Wiemy, wiemy. No i co, i tak zrobimy". I w czasie premiery publiczność reaguje tak sobie, aż dochodzimy do kwestii, w której powiada jedna z postaci sztuki: "No jak będzie trzeba, to im udzielimy bratniej pomocy". A druga mówi: "No a jak nie będą chcieli?". "Będą, będą". Wtedy jest owacja na sali, jakichś dwóch facetów się przepycha do wyjścia. Tłumaczka koło mnie o mało nie zemdlała, mówi: "Oni są z ambasady radzieckiej". Koniec, zważona sytuacja, bankiet odwołany po premierze, ale następnego dnia wszystko się rozeszło po kościach. Powiem szczerze, że kiedyś już pod koniec lat 80. przyjechała do galerii jakaś francuska dziennikarka i pyta nas, jak stan wojenny wpłynął na nasze życie artystyczne, takie, siakie i owakie. Alicja jak wszyscy: "Nie, no co tam wpłynęło, już było, minęło. Nic się takiego nie stało". A ja sobie zaraz przyhamowałem i mówię: "Chwileczkę, a moim zdaniem to na przykład mój taki rozwój twórczy to w ogóle podcięło". Dlatego, że ja w 1980 roku przed stanem wojennym miałem dwie sztuki w wielu teatrach w Polsce. W czterech, pięciu, ale bardzo dobrych teatrach. Wszystko się rozwijało w tę stronę. Potem to zniknęło, wszystko zostało zlikwidowane. Dwie następne sztuki zatrzymała cenzura, potem to już w ogóle pomyślałem sobie: "Po co to pisać, skoro nie ma w ogóle odbiorców". I prawdę powiedziawszy, przecież nie byłem sam. Znałem takich aktorów, którzy kończyli szkoły, zapowiadali się dobrze, a potem zgaśli, gdzieś wyjechali, popełnili samobójstwa. Coś takiego, tak że to nie można tak łatwo generalizować. Moim zdaniem ja straciłem 10 lat takiego twórczego życia i potem już to się telepało w inną stronę, a potem w którymś momencie zrozumiałem, że jakby więcej warte jest życie niż pisanie, mówiąc szczerze.

ALEKSANDRA GALANT: **To na pewno podsumowanie naszej rozmowy, bo ja oczywiście nie spodziewałam się, nie miałam też takich ambicji, żeby opowiedzieć o wszystkim, co zawarł pan w książce, ale wydaje mi się, że dobrym podsumowaniem naszej rozmowy będzie pytanie o to, w jakich okolicznościach i w jakim momencie galeria zakończyła swoją działalność, dlatego że już wspomniał**

pan o takich momentach trudnych również historycznie i społecznie, jak chociażby stan wojenny. Był moment transformacji. W którym momencie galeria nieodwołalnie i ostatecznie się zamknęła?

JERZY ŻUREK: Niestety to jest smutna historia związana z chorobą Alicji. Po prostu przez jakiś czas ja starałem się ciągnąć jakby ten wózek, ale potem już się nie dało. W którymś momencie uznaliśmy, że trzeba ją zamknąć, ale nie z powodów ani komercyjnych, ani artystycznych, tylko z takich czysto życiowych. Poszliśmy już w inną stronę. I ona, i ja. Galeria trwała dwadzieścia kilka lat. Dla takich instytucji w szalonym świecie to jest bardzo dużo.

ALEKSANDRA GALANT: **Prawdopodobnie również z tego powodu w pamięci wielu osób ta galeria się zachowała, została zapamiętana, została też sportretowana w książce "Alicja. Bożena. Ja. Siostry Wahl i bohema PRL-u". Tę książkę napisał Jerzy Żurek, o którym również można z książki sporo się dowiedzieć. Prozaik i dramaturg, który dzisiaj był Waszym i moim gościem. Bardzo się cieszę, że przyjął pan zaproszenie i tej historii w jakimś niewielkim jej wycinku, który mam nadzieję, że zachęci słuchaczy do lektury, zgodził się opowiedzieć.**

JERZY ŻUREK: Dziękuję również.

LEKTOR: Audycje Kulturalne – w dobrym tonie.